

BEM

POWIEŚĆ HISTORYCZNA Z XIX WIEKU

przez WACŁAWA GĄSIOROWSKIEGO.

29

— Właściwie miałem zaszczyt niejednokrotnie widywać pułkownika.

— Nie przypominam sobie.

— A ja znakomicie — odrzekł drwiąco Gendre — my tu na Zamku wogóle cieszymy się dobrą pamięcią — zaczęłam podając ramię kapitanowej, ozwał się z naciskiem: Pani Bażanow wygląda pani z upragnieniem...

Kapitanowa poruszyła się, spojrzała ku Bemowi i odeszła z Gendrem.

Stało się zaś to tak szybko, że zanim pułkownik zdołał rzec słowo — i Gendre i kapitanowa znikli w mrokach tarasu. Fanshawe zaśmiał się jowialnie.

— Hu-hu! A ot i zabrał nam damę! Śliczna osoba! Ale cóż i tak na ćwika zaraz nam zabębnią!

Bem usiłował opanować rozdrażnienie, którym go napęliło odejście pani Marchockiej.

— Na ćwika?

— Po capstrzyku taras zamykają! *Impossible de se plaindre!* I tak są bardzo grzeczni. Może i pułkownik się do nas przyłączy? Ostrzegam jednak z góry, że Dyakow oszukuje! — O już bębnią.

— Nie będę korzystał z uprzejmego zaproszenia.

— Pułkownik wraca! Zazdroszczę panu szczerze. Lecz już nie długo, nie długo.

— Czy szambelan nie mógłby mi wskazać wyjścia?

— Ja, pułkowniku? — Hu hu! Gdybym je znał, *ma foi*, nie pokutowałbym tu tyle miesięcy! Żart na stronę, proszę tędy i na prawo. Za drugą salą jest galerya a w głębi niej warta pocziwowych cerberów.

— Dziękuję szambelanowi. Chociaż wypadłoby mi pożegnać kapitanową.

— Zdaje mi się, że damy już udały się do swoich sypialni. Gendre rozmawia z Essakowem, niechybny znak. Ale, naturalnie, do pana nie mogą stosować klauzuli!

Bem skłonił się zimno Fanshawe'owi i skierował ku wyjściu.

Dwaj żołnierze atoli, trzymający wartę, miast nadchodzącego pułkownika uhonorować sprezentowaniem broni, skrzyżowali przed nim bagnety.

— Niema przechodu! — mruknął starszy z żołnierzy.

Bem w lot się pomiarkował.

— Kto tu dowodzi?

— Niema przechodu — rozkaz!

— Głupi acan jesteś! Bierzesz mnie za więźnia!

— Nikt stąd ani kroku!

— Gdzie twój oficer!?

— Tam, gdzie się należy!

— Wołaj go do kroćset!

Żołnierze mocniej się zwarli. Lecz obocześnie za ich plecami łysnęła blacha oficerskiej czapy.

— Co to — kto!? — ozwał się młody, energiczny głos.

— Pan tu dowodzisz posterunkiem?

— Tak jest! — odrzekł barczysty oficer, wysuwając się z lekkim ukłonem przed szyldwachów.

— Jestem Bem!

— Porucznik Silnicki, do usług.

— Rozkaz więc nadewszystko swoim żołnierzom, aby mi wyjścia nie bronili...

— Bardzo żałuję, panie pułkowniku, lecz wyrażne polecenie...

— Słusznie — jeno nie do mnie się stosuje...

— Żadnych nie mam prawa czynić wyjątków!

— Oszalałeś acan!

— Raczy pan pułkownik nie dawać folgi daremnemu uniesieniu!

— Co mi tu porucznik! Bierzesz mnie za areztowanego!? Melduj mnie do komendanta!

— Komendanta niema.

— Więc któż tu sprawuje jurysdykcję!?

— Pan sędzia Łanowski, lecz jest nieobecny!

Jutro pan pułkownik będzie mógł...

— Jakto, więc śmiesz pan mnie, mnie pułkownika artylerii!?

— Tak samo jak i generała dywizji...

— Ależ acana zamoczyło chyba! — Toć ja tu przed dwoma godzinami, dla odwiedzenia kapitanowej Marchockiej! Toć ledwie uporałem się z sędzią, że mnie tu puścił... Był ze mną jakiś kancelista Łanowskiego!

— Wierzę święcie, lecz muszę trzymać się... Pan pułkownik sam nie może nie przyznać...

— Pozwól poruczniku — wszak masz zapewne listę więźniów. Sprawdź, przekonaj się! — tłumaczył Bem, mocując się ze wzburzeniem.

Silnicki zakłopotał się.

— Nie mam listy! I choćbym pragnął, nie mogę. Pan pułkownik uwzględni, pełnię powinność.

— Rozumiem i ona wszakże ma swoje granice! Nie żądam od pana uchybienia rozkazom, jeno na-

prawienia błędu. Zapomniano cię uprzedzić. Pana nie winię. Lecz, do licha, są tu jacyś dozorczy, stróże, posługacze!...

— Na rozkazy pana pułkownika! — wmieszał się z boku jakiś głos.

Bem odwrócił się i ujrzał przed sobą pochyloną służalczo łysą głowę, wystającą z czerwonego kołnierza.

— Acan?

— Woźny trybunalski...

— Aha! Ten najlepiej porucznika objaśni.

Łysa głowa woźnego aż do pasa się schyliła przed Bemem.

— Na rozkazy — właściwie mam honor, że komnata dla pana pułkownika jest już wyszykowana...

XVI.

Tegoż samego wieczora, zaledwie pani Honorata rozpostarła swe furkoczące spódniczki na stołku za szynkwasem, już podcienione jej oczy błyskawicami gniewu trysnęły, bo dostrzegły jednym rzutem i pustkami świecące kąty i butle porostawiane beładnie, i piegowatą Stefkę, bobrującą w cukrze i brak na stanowisku swej powiernicy.

— Gdzie Rózia!? — zagadnęła surowo pani Honorata.

Piegowata Stefka wychynęła z ponad szuflady z cukrem.

— Rózia!? W dużym alkierzu! Niby oficyery czy jak! — Panno Róziu! Do pani gospodyni! Hej, panno Róziu!

Pani Honorata zwróciła groźne spojrzenie ku arkadzie, wiodącej do sąsiedniej izby, lecz wzrok jej miast pannę Rózię porazić, dosięgnął sunącego pośpiesznie wuja Olechowskiego.

Właścicielka kawiarni szarpnęła się.

— Co wujo — gdzie Rózia!?

— Honoruś, ani dudę. Cały alkierz altylerii, paje! Rózia, paje, niby z jednym, paje! Trzecia butla maślacza, paje! Graf Iliński, paje! Podporucznikowską epoletę, paje!

— Więc wujo mógłbyś tu dawać baczenie.

— I daję, paje! Smarkacze, słabo, paje. Trzaby im, paje. posekundować! Proszą cię do kompanii.

— Ani myślę! Niech idzie Władka.

— Honoruś, kiedy powiadam!

— Co znów wujo!

— Iliński!

— Wielka mi osoba!

— Pszyt! Ani dudę! Twego pragnę. Panicz!

— Niech będzie. Grać będą?

— Iii!

— Więc nie pójdę.

Wuj Olechowski otarł kraciastą chustą pot z czoła.

— Gubisz się.

— Wiem, co robię.

— Gurowski znów ci wziął...

— A wujowi do tego zasię! Nie wujowe brał.

— Czterech kamratów pije z nim borgiem. Szukaj wiatra...

— Znajdę go.

— Majster, panie, sam powiadał.

— Z rankoru, że mu się urwało.

Olechowski stęknął żałośnie.

— Honoruś!

— Dość chyba.

— Z serca, paje, radzę. Znów byli od Dobrycza.

Gości licho. Miał niby stręczyć Gurowski...

— Co wujo do niego. Powiedziała!

— Prawda Honoruś. Ja to wiem. Na teatrze nawet teraz śpiewają — serce nie służy! — Ale czasy, paje. Niech się rewolucya zrobi — niech zaczęła rznąć, paje, magnatów, panów, grafów...

— No to Gurowski zostanie prezesem rządu!

— Honoruś! — stęknął z wyrzutem Olechowski.

Pani Honorata oczy nań postawiła.

— Co, wolałby wujo, żebym jego usłuchała i na Zamku ze szpiegami już była? Psu na budę z wujowem rajeniem!

Olechowski prychnął, lecz słowa nie rzekłszy, podreptał ociężale do dużego alkierza, kędy rozochocona gromadka artylerzystów raczyła się maślaczem pod wodzą podporucznika a ognistym spojrzeniem pyzatej Rózi.

Alkierz, na widok Olechowskiego, zahuczał okrzykami:

— I cóż! — Jakże!? — Gdzież Honoratka? Gdzież babska kompania!?

— Cierpliwości panowie! Duchem, aby krzynek!

— Łże, bazyliszek!

— Za drzwi go!

— Huzia! Na ostre przez metal!

— Rykoszetem go zatulać!

— Moćpanowie! — wrzasnął żałośnie Olechowski, uchodząc przed wyciągniętymi doń kłębami rąk. — Będzie, parol szlachecki!

Lecz w tejsze chwili na progu alkierza stanęła panna Władka. Napastujący ku niej się zwrócili:

— Wiwat! — Zdrowie panny! Dawać ją! —

Kruczkowski, aby się nie przypinał! — Niech przy Surmackim siada!! Tak, przy Surmackim!

Surmacki atoli, któremu *vox populi* bogdanę ferował, dźwignął barami i oburknął się gniewnie.

— Nie trza mi sąsiedztwa. Niech sobie Radoński do niej stroi!

— Patrzcie — zażartował podporucznik — nasz Surmacki ma rankor do niewiast!

— Nie do niewiast, aby do trznadłów, ogryzków. Toć w narącze niema co wziąć!

— Awansował na ogniomistrza i zakochał się w armacie!

— Cha — cha! — Doskonale Zarzycki! — To cię ściał!

— Trzaby świeżej buteleczki, panie grafie! — nastreścił się podporucznikowi Olechowski, który był, korzystając ze zgłębku wlał resztę do swego kubka.

— Dawaj jegomość, co trzeba!

— Nie pytaj!

— Chcem słodkiej wódki i biszkoptów! — narpała się panna Władka.

— A ja szampana! — pisnęła wybredniejsza panna Rózia.

— Ot nam powiedziała! — podchwycił z fantazją podporucznik. — Hej, stary, wszystkim szampana!

— Wiwat!

Zapowiedź tak sutego poczęstunku wzmogła ochotę artylerzystów. W dumę wbiła kawiarniane panny, wywołała radosny popłoch za szynkwasem a wreszcie strzeliła korkami.

— Za podporucznikowską epoletę pana grafa! — Niech żyje Iliński! — zagrzmiwały głosy.

— Nie przyjmuję! — wykrzyknął zawadząco podporucznik. I piję za nasze przyjaćielstwo, za służbę naszą żołnierską! Epolety mi nie wymawiajcie! Z wami w jednym ogniu na nią pracowałem i z wami na wasze pracować będę! W wasze ręce!

— Ale najpierw my panu grafowi wystukać pomożemy porucznikowski awans!

— Wiwat druga kompania artylerii gwardyi!

— Wiwat nasz pułkownik! Wiwat Bem!

— Bem — Bem! — beknął z kąta wuj Olechowski, któremu wino na dobre zaczęło.

Podoficer Zarzycki ściągnął brwi i napomniął ostro.

— Co waćpan tam!

— Akkomoduję się, dobrodzieju! Bem, paje, wiadomo!

— Jakto? — Co?! — zagadnięto natarczywie.

— Oficer, paje! Pod Ostrolęką, paje, harmatami całą armię, paje, zbębnił! A jakże! Znam! I owszem.

Pół roku ledwie — kapitan, major, podpułkownik, pułkownik! Tylko cóż, wstydu mi przyczynił! A tak, siostrzanka z pazurami do mnie, bo Bem, paje, zamiast „bum“ paje... ani „be“ ani „me“, paje...

W alkierzu cisza śmiertelna zaległa.

Olechowski rozejrzał się głupkowato i rad z własnego konceptu, dodał ze śmiechem:

— Cha — cha! I nie spaść mi się. Ze szpiegami się wdał i na latarni gotów...

Olechowski nie dokończył, bo naraz sześć strasznych pomruków wyrwało się z piersi uczujących i sześć ciał runęło nań, zaszamotało nim i rzuciło na stół między butle i szklanki.

— Na ćwierci obwiesia! — Prać szelmę!

— Litości obywateli!

— Ja cię nauczę szelmo zachowania!

— Gwałtu! Ratunku! Jam nie winien! Panowie! Ja nigdy! Gurowski! — To Gurowski! Rety! — jęczał wuj, wijąc się pod zadawanymi mu razami.

Aż Iliński skinął na towarzyszy i Olechowskiego za pierś zatarmosił.

— Co za Gurowski! Gadaj prawdę, całą prawdę.

— Gurowski! On rozpowiadał! W gazecie stało! Nieszczęśliwa moja godzina! Póki życia obywatele...

— Co za Gurowski! Gdzie?!

— Aby już nie mordujcie! Powiem, oświecony grafie! Niech tchu! Niech zipnę!... Tak! Porucznik gwardyi narodowej, Gurowski! Ewa mu na imię,